

Powikłana sprawa.

Napisał

Władysław Spausta.

Gdym przed laty (w roku 1893) w pracy mej „z zatargów rodzimych i z ekonomii łowieckiej“ przedstawił o ile możności podmiotowo rolę negatywną zwierzyny względem lasu, spotkałem się już zaraz z początku, bo nie domówiwszy jeszcze ostatniego słowa, z przykrym wyrzutem, a wyrzut ten pochodził z pośród koła myśliwskiego. Chcąc nie chcąc wyrządziłem przykrość myśliwym, stawiając jako myśliwy to istotne „*noli me tangere*“ na pręgierzu obiektywnej krytyki; kosztowało mnie to dużo, trzeba było poruszyć najdelikatniejsze struny, i wypowiedzieć bezwzględna prawdę, a wypowiedzieć ją z bolem własnego serca. Jedy-nem zadość uczynieniem było dla mnie poczucie spełnienia obowiązku w łamach pisma, w których może po raz pierwszy spotkano się z wykonaniem zasady *audiatur et altera pars*, jedyną pociechą końcową uznanie, że poświęciwszy tej żywotnej sprawie mnóstwo miejsca, kruszyłem kopie właśnie w obronie zwierzostanów, które w ogólności mówiąc, nie rozmnożyły się u nas jeszcze do tego stopnia, aby zagrażać mogły przyszłości lasów, a jedynie tylko przesadny stan zwierzostanów wyjątkowo staje się w pewnych miejscowościach przyczyną klęski, które częstokroć w kołach leśników wywołują całkiem słuszne głosy oburzenia.

Gdyby ten stosunkowo smutny zwierzostan sarni i zajęcy, jaki w ogólności posiadamy w całym kraju, rozsiedlonym był mniej więcej równomiernie, nieistniałaby u nas z pewnością jeszcze kwestya szkód zwierzynnych po lasach. Bo cóż my to za zwierzostany posiadamy w porównaniu do innych ościennych krajów, gdzie kwitnie kultura leśna, gdzie my szukamy wzorów? Oto od długiego już szeregu lat, pada u nas rocznie około 5500 kozłów i około 45000 zajęcy; wprawdzie w cyfrach tych uwi-docznie się jakiś mały postęp ku lepszemu, ale są to takie drobnostki, że w porównaniu do innych krajów Monarchii wygląda to raczej na zastój lub nawet na zacofanie. Porównując cyfry statystyczne od r. 1886 i 1892, dostrzegamy w innych krajach

koronnych ogromny wzrost zdobyczy łowieckiej: w Wyższej Austrii o 22%, w Niższej o 10%, w Czechach i Morawii o 18%, w Styryi o 11%, w jednym zaś roku 1892 dostarczyły Czechy 12920, Austria W. 9825, Austria N. 11683, Styrya 9252, Morawa 8042, a Galicya, pomimo swych dwu milionów hektarów lasu 5797 sztuk kozłów. W Czechach zginęła jedna sarna czy kozioł na 102 *ha* lasu, w Galicyi na 334 *ha* jeden kozioł. Ale zagłębujmy jeszcze w inne zagraniczne knieje. Na Szlązku pruskim na powierzchni 1163208 *ha* lasu ubijają 25000 kozłów, w piaszczystej i jałowej Brandenburgii na 1282252 *ha* 16000, a w małych kniejach Pomorza, bo tylko na 592396 *ha* około 12000 kozłów.

Oprócz kozłów pada na Szlązku pruskim również około 750000 zajęcy, t. j. na $\frac{1}{2}$ tej powierzchni jaką zajmuje Galicya, w całej Przedlitawii ginie rocznie około 1300000 zajęcy, a Galicya stanowiąca około 26% powierzchni Przedlitawii, przyczynia się ledwo w 34% do cyfry ubitych zajęcy, a w 8% do cyfry ubitych kozłów (i sarn). Biorąc li tylko powierzchnię za podstawę kombinacyi, powinniśmy w porównaniu do Szlązka pruskiego mieć nie 45000 zajęcy na rozkładzie rocznym, ale 1500000, nie 5500 kozłów, ale co najmniej 45000 kozłów i sarn, a wskazuje na to i powierzchnia lasów. Wobec takich zwierzostanów na istną nędzę wygląda nasze łowiectwo, zdawałoby się mogło, że wśród takiego słabego rozwoju gałęzi, występującej wrogo przeciw kulturowym zamiarom leśnictwa, panować powinien rajski spokój w Sylwana dziedzinie; ale gdzie tam, od czasu do czasu podnosi się w kołach leśników okrzyk wojenny. Po pierwszych zapałach sądząc możnaby się spodziewać czegoś okropnego, ale zapały ostygają, jeszcze się zrzędzi jakiś czas, a wreszcie nawołuje się pardon tej biednej zwierzynie, która „służy za ozdobę lasu, bez której las traci wszelki powab,” no i obmyśla się sposoby ochrony, wyszukując najrozmaitsze ku temu arkana, w skarbnicy najwyuzdańszych „forstgärtnerów“ za granicą.

Ktoś, nieznający stosunków krajowych, mógłby w ogólności posadzić leśników naszych albo o przesadę albo o zbyt nie przejęcie się nutą piósneczki, którą na zachodzie aż do znudzenia wypiewkuje chór forstgärtnerów. Czego ci ludzie chcą właściwie, ubijają na 334 *ha* lasu jednego koziołka, a na 180 *ha* powierzchni jednego zajęczka, i jeszcze narzekają na uszkodzenia kultur? Byłoby to całkiem naturalne zapytanie, gdyby zwierzostan płowy, na jaki wskazuje cyfra rozkładu, był rozsiedlony równomiernie w całym

kraju. Tymczasem tak nie jest, a niemówiąc już o równomierności rozsiadlenia zwierzyny, która jest absolutnie niemożliwą, wobec rozmaitych warunków siedliska, spotykamy objawy najróżnorodniejsze wobec jednych i tych samych warunków przyrodniczych, ogromne pasma są tam pustką — a pośród pasm tych niby wyspy wśród oceanu, odznaczają się inne knieje obfitością zwierzyny, a szczególnie mnóstwo tam sarn sprawujących ogromne spustoszenia po lasach.

Cyfry zatem wyrażające plony roczne naszego łowiectwa, pomimo, że są śmiesznie niskie w porównaniu z innymi krajami, są nadto wysokie względnie do powierzchni rewirów łowieckich, z jakich zdobycz ta pochodzi. Galicya posiada wprawdzie przeszło 6000 samodzielnych rewirów łowieckich, ale ileż to z pośród tychże świci jak dawniej przerażającą pustką, z rozmaitych przyczyn, w które tu wchodzić detailicznie nie jestem w stanie. Już to knieje nasze pozostając w ręku żywiołów, które oprócz doraźnych korzyści niczego więcej tam nie widzą, stają się popisową areną dla strzelaczy, aż do ostatniego skutku, aż do wybicia wszystkiego, co tam się jeszcze ukrywało. W gorączkowym tempie topiły się tam i topią wieków zapasy, niby pod wpływem ekonomicznej potrzeby zniża się kolej, a wśród smutnych zrębów resztki zwierza dobija strzału chciwa kompania strzelaczy, z zaślepieniem, jak gdyby się to działo w przeddzień potopu. Ileż to knieji będących własnością t. z. martwej ręki, nieprzyczynia się wcale do poprawy cyfr statystyki łowieckiej; nie czują tam oko myśliwego, a co Bóg dał, lub co pozostało z łaski otaczających wrogich żywiołów, to się ubija „na kuchnię“, no i na tem koniec; większych pretensyi do łowiectwa zazwyczaj się nie stawia. Wreszcie pośród rewirów stanowiących prywatną własność, ileż pozostaje pod okiem racjonalnej opieki? Pomimo, że wiele się mówi o tem tradycyjnem rzemiośle, nader mało się robi na tem polu, wielu bardzo mamy strzelców ale mało myśliwych, stąd wiele rewirów prywatnych świci również pustką, co zresztą jest rzeczą całkiem naturalną i co stwierdzają sprawozdania delegatów Towarzystwa łowieckiego.

Wartość łowiecką ogromnych obszarów gminnych, wyrażają najdokładniej cyfry, jakie się osiąga przy dzierzawach takich polowań. Za setki a nawet tysiące morgów obszaru, wpływa do kasy gminnej kilka lub kilkanaście reńskich i to najczęściej tylko pod wpływem konkurencyi sąsiedniego właściciela samo-

*

dzielnego rewiru, myśliwego, który nie chce się здаwać na łaskę, byle jakiego dzierzawcy polowania, na przyległym terenie.

Wylazłszy niedawno z lasu cyfer statystycznych, pragnąłbym znów zaposiłkować się cyframi, w celu wykazania, z jak małej stosunkowo powierzchni pochodzi ten rozkład zwierzyny płowej, o jakim mówią urzędowe wykazy; niestety jednak nie z tego, takiej kombinacji opartej na cyfrach ułożyć nie jestem w stanie, dla braku pewnych danych, jednak wystarczy dla praktyki obraz, jaki każdy wytworzyć sobie może, wzięwszy w przybliżony rachunek wcale nieprzesadnie określony stan łowiectwa na wielkich pasmach kraju. Kto tego czynić nie chce, to niechaj sobie przeczyta sprawozdanie z rezultatów myślistwa w takich rewirach, których właściciel jako fanatyczny wielbiciel Diany, wszelkich używa środków do poprawy zwierzostanów, a przekona się niezawodnie, że we wielu razach amatorstwo sprowadza tam stan, wywołujący tyle słusznych skarg i żalów leśnika. Gdzie n. p. na 10 morgów powierzchni znajduje się jedna sztuka sarny, gdzie zwierzostan ten bez żadnej rachuby, bez żadnego zastosowania do przyrodniczej możności siedliska, mnoży się pod osłoną nader skrupulatnej ustawy, a gdzie równocześnie podjęto kulturalne starania około przyszłości lasu, tam żadne środki niezdolają odwrócić dotkliwych szkód i praca kulturalna w jednej głównej gałęzi dziedziny leśnej, będzie zawsze niepokojoną przez zwierzynę rozbujającą i rozmnożoną ponad ekonomiczną możność siedliska. Na zachodzie, po wypróbowaniu najrozmaitszych, często-kroć nader awanturnicznych i rozpaczliwych środków, w celu ochrony kultur od szkód, doszli wreszcie leśnicy do przykrej konieczności ogradzania kultur, gdy zwierzostany sarn doszły do tej miary, że na 25 morgów n. a. przypada jedna sztuka. Praktyka ta, z którą się spotkać można dość często, dowodzi czem jest rozmnożony drzewostan sarn dla przyszłości lasów i jakimi ofiarami sprowadza się jakie takie bezpieczeństwo posiewów przyszłości. Byłoby rzeczą zupełnie bezpożyteczną, podawanie jakichkolwiek szablonów mających służyć niabyto do unormowania racjonalnego etatu zwierzyny, sądzę jednak, że 1 sztuka sarny na 15 morgów powierzchni rewiru, byłaby maksymalną granicą w bogato przez naturę wyposażonych siedliskach i wobec starań kulturalnych około zwierzyny w tej porze, w której konieczność zmusić może nawet niewielkie zwierzostany, do bardzo szkodliwego zamanifestowania swej obecności.

Chociaż ród sarni potrafi częstokroć jedynie tylko z buty i figłów wyrządzić dotkliwe szkody, to przecież dominującym ku temu motywem pozostanie zawsze konieczność, lub narów nabyty pod tejsze presją a utrwalony dziedzicznie w pokoleniach. Otóż niedopuszczajmy tej konieczności, bo skądże możemy mieć pretensye do sarnecki, jeżeli przyciśnięta głodem zaspokoi go plonem naszej pracy i starań, niech nas nie zadziwia, że i pokolenie takiej matki przyzwyczajonej do zgryzania kultur, będzie czynić to samo, może już nie z potrzeby ale z narowu.

Możliwość łatwa rozpoznania płci o każdej porze roku i skrupulatne wykonywanie 13 ustępu, §. 1. ustawy z. d. 30/1 1875 przez prawdziwych miłośników łowiectwa, doprowadziło do tego, co było zamiarem ustawy, objawił się ogromny wzrost zwierzostanów sarnich, a nawet i w tych rewirach, w których sarny wytępił dawny łowiecki szlendrian, rozrodził się ten zwierzostan pod okiem właściciela myśliwego lub jego zastępcy. Był to niezawodny postęp, chlubnie zapisany w historyi naszego łowiectwa, jakkolwiek postęp bardzo lukowaty, bo nie dotyczy całego kraju, lecz jedynie kniei i gdzie i gorliwość obywatelska i żyłka prawdziwie myśliwska poszły za wskazówkami ustawy. Bezwzględna ochrona siut, przekazana wzmiankowaną ustawą, nader konieczna, gdy chodziło o ratowanie niedobitków tego powabnego zwierzostanu, staje się po dziś dzień powodem zaostrzania się kwestyi spornych wśród lasu. Wprawdzie §. ustawy dopuszcza wystrzeliwanie sarn zbytecznych za pozwoleniem Namiestnictwa, ale to tylko „ze względów gospodarstwa łowieckiego“. Na mocy §. 4., można wprawdzie wymagać zmniejszenia szkodliwego dla kultury zwierzostanu, a to leży w zakresie działania politycznej władzy 1-szej instancyi, która jednak nie zechce się zapewne wdzierać w kompetacye zastrzeżone Namiestnictwu co do sarn.

Cóż stąd za następstwa? Oto właściciel rewiru, nie chcąc postąpić nielegalnie, lub nie chcąc się narazić na podejrzenia i szykany sąsiadów, łączących się zawsze z podaniem o pozwolenie wybicia kilku siut, cierpi niedające się obliczyć szkody od zwierząt, które już żadnej wartości hodowlanej nie przedstawiają, a które ustawa chroni aż do naturalnych kresów, aż do śmierci ze starości. W ten sposób konserwuje się wiele sędziwych matron, które nie mając już żadnych innych celów życia, stają się z każdym rokiem szkodliwszemi smakoszkami. Ze wszystkich zmysłów najdłużej wytrzymuje zmysł smaku. Gdy już wiele z funkcyi ży

wotnych, stanowiących powaby życia zamarło, gdy wreszcie i inne zmysły niedopisują, gdy oko słabnie, a ucho li tylko jeszcze grubsze wrażenia odczuwa, zmysł smaku żyje i częstokroć tylko u starej siuty stanowi jedyny powab egzystencji. Taka stara, jałowa siuta to najszkodliwszy egzemplarz w lesie, a przytem i zły przykład, psujący dobre obyczaje. Ponieważ ustawa nie może tworzyć wyjątków i zezwalać na wybijanie siut jałowych, gdyż w takim razie ubicie każdej siuty, możnaby zepchnąć na karb jałowizny trudnej do sprawdzenia, musi być w jakiś krótszy sposób uproszczone usunięcie szkodliwego zwierza, a społeczeństwo łowieckie musi się nieco oswoić z nieuniknioną koniecznością, i nieco zaufać obywatelskim przymiotom, bez których żadna ustawa niezagoby dokazać nie mogła. Ktoś, starający się u władzy o pozwolenie usunięcia czegoś niepotrzebnego lub szkodliwego, nie jest z pewnością niebezpiecznym dla łowiectwa; to człek skrupulatny, rachujący się z każdym krokiem, bo inaczej cóż łatwiejszego jak zdrażanie czegoś podobnego w sposób nielegalny?

W obecnym stanie zwierzostanów sarnich, znachodzących się w rewirach pod skrupulatną opieką, okazać się musi potrzeba regulacyi etatu prawie w każdym roku, jeżeli nie mają nastąpić dotkliwe szkody. Aby regulacya ta była możliwą i aby śmiało można ułożyć sperandę rozkładu, musi być przedewszystkiem skonstatowanym zwierzostan tak pod względem ilości jakoteż jakości, co znów do nazbyt trudnych rzeczy nie należy. Dopiero *clara pacta* dadzą podstawy do sprawiedliwego rozsądzenia rzeczy, które przy naszych ogólnikach jest prawie niemożliwe, dopiero wtenczas wykaże się jasno, że szkody wyrządzone przez sarny przypisać należy dyletanckiemu amatorstwu, lub nieświadomości, z jakim zwierzostanem mamy właściwie do czynienia, a który pod wpływem li tylko ustawowej ochrony urósł w taką liczbę, że już żadne środki nie będą w stanie ochronić kultur od szkód dotkliwych.

Jeszcze przed kilkunastoma laty, bo w r. 1880 ubijano rocznie w Czechach około 2000 sztuk kozłów, a trudno uwierzyć, że już po latach 15 zwierzostan sarn tak się rozmnożył, że w roku 1894 ubito 16069, a w r. 1895 13118 kozłów i sarn (podania c. k. Namiestnictwa w Czechach). Wobec tak przerażającego postępu rozmnoży sarn w Czechach, nasza cyfra utrzymuje się od r. 1886 mniej więcej na jednej wysokości, jedynie dlatego, bo w kniejach gdzie dawniej były pustki, albo nie albo wcale

mało się poprawiło. Gdyby Galicya we wszystkich swych kniejach posiadała zwierzostan sarn bardzo skromny, bo tylko 1 sztukę na 20 *ha* powierzchni, to ogółem powinnyby być 100000 sztuk, z czego równie możnaby odstrzelić około 25000 sztuk. Takby być mogło, ale niestety nie jest, a my wobec cyfry 5500 ubitych kozłów, słusznie podnosimy skargi na uszkodzenie lasów przez sarny, w innych zaś okolicach sarn prawie nie ma, a właściciel takich knieji, niby powieść o żelaznym wilku, wysłuchuje żale i skargi leśników na uszkodzenia lasów przez sarny w innych stosunkach.

Że z rozmnożeniem się zwierzostanów, powinno iść w parze również i staranie o odpowiednie powiększenie środków wyżywienia, o tem przecież nikt wątpić nie będzie, a jednak w praktyce naszej lekceważy się tę konieczność, co więcej, postęp leśnictwa pragnąc dla swych specjalnych celów wyzyskać każdą piędź ziemi, zagarnia dla siebie wszystko i kulturuje drzewo na odślonnych haliznach, gdzie jeszcze do niedawna wyrastały smaczne zioła i trawy *ad usum* zwierzyny. Czem racjonalniejszem staje się leśnictwo, tem gorzej na tem wychodzi zwierzyna, słusznie także dziczyznę zwaną, jako nieodłączna cecha lasów w stanie dzikiej natury. Nareszcie w lesie idealnej kultury już nie dla zwierzyna nie pozostaje — chyba mieszkanie bez wikt, bo co przy ziemi — to owoc zakazany, a co już odrosło pyskom, rzuca cień na ziemię, na której li tylko rzadka i niesmaczna wyrasta wegetacya.

W takich stosunkach rozmnożony zwierz, jako tako przepędza lato, urządając stałe wycieczki na okoliczne pola i łąki, a gdy nastanie pora zimowa, pada ofiarą kultury. Zazwyczaj kiedy szkoda doszła już do znacznych rozmiarów, zaczyna się myśleć o środkach ochronnych, a to jest stanowczo za późno, bo zwierz raz przyzwyczajony do takiej praktyki, już nie tak łatwo da się sprowadzić na drogę narzuconej mu moralności. Zarząd rewiru nie postarawszy się w porze letniej o dostateczną ilość tak zwanej paszy owczej (t. j. z liściem suszonych drobnych gałązek), a nie mając w obrębie własnym powierzchni pasznej, poświęconej li tylko uprawie pasz dla zwierzyny, jest w zupełności zależnym od ekonomicznego zarządu dóbr i po długiej i upartej pertraktacyi, udaje mu się zdobyć dla zwierzyny nieco konieczyiny, trochę owsa, więcej przegniłej grochowianki i t. p. Gdzieniegdzie wśród lasu spuszcza się w rozmaitych miejscach drzewa miękkie —

no i na tem koniec. Koniec staraniom, ale nie koniec szkodom w kulturach, bo zwierzyna to jak grymaśny dzieciak płata dalej figle — ba i pasza gdzieś znika — zakładają się nowe porcy, ale szkody trwają dalej i do rozpaczki doprowadzają leśnika.

Spróbujmy zatem innego sposobu, zanim chwycimy się ostatecznych środków ochronnych. Oto przede wszystkim w zupełnej świadomości, jaki zwierzostan mamy i jaki mieć powinniśmy, postarajmy się o odpowiednie dla tego wyżywienie wśród lasu; dla tak pięknej rzeczy jaką jest zwierzyna trzeba ponieść jakieś ofiary. Poświęćmy jakąś powierzchnię uprawie pasz i ziemiopłodów uznanej wartości dla zwierzyny, a to nas wyzwoli z dotychczasowej zależności. Powierzchnie te sownie się opłaca, dostarczając przez cały rok żeru, a do gnarowania zimowego, którego potrzeba zmniejszy się o wiele w takim razie, jeżeli wśród lasu będą się znajdować polka podsiane koniczynami, rzepakiem, krzywą i t. p., będziemy posiadać karmę właściwą, a nie przypadkową bo wyproszoną. Oprócz tego miejmy przygotowaną odpowiednią ilość paszy owczej, która odpowiadając najlepiej naturze zwierza i podana w odpowiedniej porze, przyczyni się niemało do odwrócenia szkód. Gnarowanie zwierzyny powinno nastąpić zaraz z nadejściem pory, w której utrudnionem już się staje wyżywienie naturalne, a nie powinno się nigdy zwlekać z tem aż do chwili, gdy się już poczęły objawiać szkody w kulturach; to samo da się powiedzieć o spuszczeniu drzew wśród lasu, które skutecznie należy zaraz po zapadnięciu pierwszych śniegów. Jest to środek znakomity i niekosztowny, stąd powinien znaleźć szersze zastosowanie w praktyce, jak to ma miejsce dotychczas.

Sądzę, że każdy właściciel jeżeli nie jest dyletantem, zgodzi się we własnym interesie na wprowadzenie dotkniętych tu pobieżnie reform; jest to jedyny sposób wyjścia z mętnej sytuacji, w jaką rycjonalny rozwój leśnictwa popchnął powabną działość kniei.

Gdyby te wszystkie środki pośrednie zawiodły, co wreszcie zdarzyć się może, mając do czynienia ze zwierzostanem, u którego szkodliwe wyżywienie stało się już drugą naturą, nie ma już innej rady, jak przystąpić do bezpośredniej ochrony kultur. Pominąwszy już ogrodzenia, które są z pewnością najradykałniejsze, ale i najkosztowniejsze, jeżeli mają stanowić rzeczywistą przeszkodę dla tych przedziwnych skakunów, pominąwszy inne sposoby tej

kategorii, nieraz dość naiwne, które zazwyczaj i pierwszej próby nie wytrzymują, poczęto przed niedawnym czasem używać rozmaitych smarów, w celu ochrony kultur.

Doświadczenia jakie dotąd ze smarowidłami poczyniono, są tak różnorodne, że trudno sobie wyrobić jasne pojęcie o ich znaczeniu, a powód tego o ile sędzę, nie zależy tyle od gatunku i jakości użytego smarowidła, gdyż wszystkim nie brak odstraszających przymiotów, ile od mniej lub więcej dokładnego wykonania. Zrobić zatem niedokładnie nie pomaga widocznie, dokładność zaś budzi pewne obawy w innym kierunku, wszak to co smarujemy, to nie dach, to nie słup martwy, ale żyjący organizm, któremu przeszkadzamy tą operacją w spełnianiu pewnych funkcji życiowych, tamując respirację, a oprócz tego wprowadzamy go w bezpośredni kontakt z połączeniami ostremi, jakie się we wszystkich takich smarowidłach znajdują. W regule nie znamy składu tej perfumeryi, ale łatwo domyśleć się możemy, co się tam kryje w tym gęstym brunatnym, nieraz czarnym płynie, a te wszystkie Beurole, Toluole, Xylole, Cymole, Phenole, Kresole, Cumole, Retynile i t. p. *ile i ole* w komplikowanym połączeniu, nie mogą jak mi się zdaje, nazbyt uprzyjemnić życia biednej roślinie, skaranej na taką smarowaną profilaktykę. Jest to zatem w każdym razie kwakzalberya niedostatecznie określonego znaczenia, a przytem operacja droga, o wiele droższa jak ją przedstawiają zazwyczaj wynalazcy każdego z tych sposobów. Zapewnienia wynalazców, że środek ich roślinom nie szkodzi, są przecież rzeczą całkiem naturalną, raczej dziwić się należy, że dotychczas przynajmniej nie dołącza się do każdej przesyłki zakazanych nazw smarowidła, długiego wywodu o jego nader zbawiennem działaniu na roślinność.

Ze wszystkie dotychczas używane smarowidła, z których nawiasem mówiąc każde było z początku „znakomite“, nie odpowiadały oczekiwaniom, dowodzi fakt niezaprzeczony: oto leśnicy na zachodzie oglądają się ciągle za jakimś nowym środkiem z tej kategorii, ba nawet w ostatnich już czasach, niejaki p. Laage w Quickborn w Holsztynie leśnik z zawodu, puścił się na drogę chemicznych wynalazków, no i zpreparował t. z. Pikrofoetidin, o którym „Sylwan“ r. b. na str. 89, umieścił już sprawozdanie. Nie potrzebuję dodawać, bo w tym mnie już wyręczyli inni, że środek ten ma być zupełnie nieszkodliwym dla roślin, podnoszę tu jedynie ważną bardzo okoliczność stwierdzoną praktyką (?),

że nie potrzebują wobec tego środka brać w rachubę kosztów smarowania niem całych kultur, gdyż wystarczać ma posmarowanie granicznych pasów lasu, płotów i t. p., aby powstrzymać n. p. zwierzyńcę, od wychodzenia z lasu na łan rzepaku, od prze-mykania się w sąsiednie lasy, wystarczyć zatem powinno posmarowanie obwodowych pasów kultur, dla zabezpieczenia całości — tego przynajmniej można się spodziewać, sądząc po doświadczeniach nie wynalazcy, ale niejakiego p. Stroisch w Anhaltskim.

Ach! gdyby to wszystko było prawdą, gdyby nieprzypominało mimowoli naszych prastarych powłók wilczą skórą, fleituchów dymem prochowym okopconych i t. p. naiwnych środków, których się nieraz używało a zawsze bez skutku, gdyby to tak można „hudro mudro“ zabezpieczyć i kultury i „newełykim kosztem“ utrzymać zwierza według upodobania w pewnych partjach kniei! Cóżby to był za kolosalny wynalazek, ubijający odrazu kwestyę, nad którą nie jedna głowa wyłysiała. Czyż nie wartoby nam kiedyś, może w przyszłym wieku geologicznym (no, bo my mamy do tego szczególny talent) uczcić wynalazcę pomnikiem, a do-czesną egzystencyę grubą osłodzić pozłótką? Trudną jest rzeczą w naszych czasach, gdzie co chwila pojawiają się coraz to nowe środeczki, na rzekome zagojenie ran najrozmaitszych, ocenić z góry wartość rzeczywistą takich leków, to też i co do wartości Pikrofoetidynu nie przesądzam rzeczy i oczekuję dalszych sprawozdań z praktyki; w dyskretyi jednak wśród grona rodaków przyznać się muszę, że cały ten Pikrofoetidyn nie budzi we mnie wielkiego zaufania, dlatego, że zaraz po jego narodzeniu wyraża się o nim praktyka za granicą w samych superlatywach.

W skutki, jakie ma wywierać użycie tego środka można uwierzyć, ale nie można ich wyrozumieć, zwłaszcza, jeżeli się w ciągu długiego bardzo szeregu lat miało sposobność obeznać bodaj jako tako z życiem i zwyczajami zwierza. Każda byle jaka nowość, byle jakie nowe wrażenia zmysłowe, wywiera na jakiś krótki czas pewne zaniepokojenie zwierza. Mniejsza z tem, czy są to wrażenia wzrokowe, słuchowe lub powonienia, dość że wzbudzają niedowierzanie i jakiś czas upływa zanim istota rzeczy nie zostanie zbadaną. Dla subtelnych zmysłów zwierza nie trzeba bynajmniej grubych wrażeń, aby cel został osiągnięty, nie intensywność bowiem tychże, ale wogóle obecność czegoś obcego w lesie, co nawet wcale nie działa na nasze przytępione zmysły, jest już wystarczające, aby wywołać senszację wśród

zwierzostanu. Jest to prawda nieopisana wprawdzie w uczonych księgach, ale zawarta w tej wspaniałej księdze, która od wieków leży otwartą przed nami.

A jeżeli tak jest, to zrozumieć łatwo, że w celu ochrony muszą być używane coraz to inne środki, urządzone niespodzianki, utrzymujące zwierza w stadium ciągłej niepewności, i że z tej właśnie przyczyny żaden środek, choćby nawet wyszedł z piekielnej Lucypera garkuchni, sam przez się nie na długo posłuży. Zwierz prędko się w sytuacji zorientuje, prędko się pozna na naszym figlu i swym postępowaniem zdyskredytuje częstokroć wynalazek, który skrzydła reklamy po świecie rozniosły. W tem leży przyczyna dla czego każdy nowy środek w tym kierunku, już w powijakach jest „niezrównanym“, dla czego każde nowe smarowidło „znakomitem“, stąd ten mój skeptycyzm względem Pikrofoetidynu.